

d9k

Moł ajsi

Przedkompie 2006

Dane, wyjątkowo ważne, gigabajty informacji niewiadomego pochodzenia, gdzie liczyło się każde słowo, każdy bit był ważny, nie można było uronić ani jednego ukrytego pomiędzy wierszami znaczenia, niemal jak spam napierały z każdej strony, przeciekając przez firewalle i nic nie robiąc sobie z softwarowych barier. Wszystko płynęło naprzód i naprzód, wprost do jego, zadławionego nadmiarem danych, mózgu.

Otwarł oczy. Drgnął. Kolejny raz to samo.

Przez chwilę miotał przerażonym wzrokiem po ciemnym pokoju. Stały tu niedbale poustawiane meble – stare, szare, nudne, brzydkie – nie dawały oparcia dla oka. Odwrócił się, szczerzej otulając się kołdrą. Ciszę pustego pokoju rozrywał oddech czterech wentylatorów komputera, szum wirującego dysku i nikły pisk kontrolera modemu. Uspokoił się. Wszystko było w porządku.

Blask szarego poranka z godziny na godzinę coraz bardziej nachalnie wlewał się do ciemnego mieszkania. Komputer ożył – program rozświetlił ekran, a następnie nakazał szeregowi głośników wydać serię tonów o wysokiej częstotliwości, zbliżonej do górnej granicy słyszalności – służyły one jako budzik.

Niechętnie otworzył jedno oko – poraziło go światło, więc na moment je przymknął. Komputer piszczał jednak coraz donośniej, domagając się wciśnięcia enter. Aby nie wszczynać awantury z sąsiadami, należało wstać. Tylko ten jeden klawisz... Nie miał siły, by wstać. Banalna sekwencja ruchów... i taki problem... Jakimś cudem, wreszcie udało mu się dokonać niemożliwego - wygrzebać się z pościeli, nałożyć na nos okulary, ubrać rozwalone kaptcie i wcisnąć przebrzydły klawisz. Program samoczynnie odebrał pocztę, sprawdził notowania giełdowe – jego aukcje podniosły się o jedną setną procenta - ściągnął z satelity mapy pogody na dziś i jutro i wysłał do solenizantów tandetnego emaila z życzeniami.

Odczytując newsy ze strony jakiś młodocianych zapaleńców, przyrzadził jajecznicę. Dzieciaki, zdaje się, szykowały atak na sieć konkurencyjnej firmy. No tak. Cóż za doskonały cel. Ich produkty były naprawdę beznadziejne. Niech się pobawią. Tylko na dobre wyjdzie. Rzucił okiem na kilka innych stron – nie szykowało się nic specjalnego. Panowała cisza. Czyżby przed burzą? Przeżuwając resztki śniadania, poszedł się ogolić. Po chwili wrócił, by przestawić program na czuwanie, po czym wziął marynarkę i klucze i wyszedł. Jadąc windą, włączył telefon. Nie było żadnych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń... Kto chciałby niby się z nim kontaktować? Zanim wszedł do swego na pół zgniętego samochodu, ogarnął spojrzeniem nudne osiedle – sąsiedzi również wyjeżdżali do pracy. Przemknął tuż obok nich. W końcu nie było najmniejszego powodu, aby im się kłaniać.

Tego ranka jakoś wyjątkowo nie było korków. Ruch odbywał się nadzwyczaj płynnie. Wreszcie znalazł się pod oszklonym biurowcem. Zaparkował samochód pod jakimś drzewem, najmniejszej uwagi nie zwracając na znaki. Najwyżej! Zleci jakiemuś młodemu chakierowi włamanie do akt policji. Wielkie mi co. Gówniarz pójdzie siedzieć, a on, jak zwykle, wyjdzie ze wszystkiego obronną ręką.

Szklane drzwi rozsunęły się na całą swą szerokość, wpuszczając go do środka. Kiwnął głową portierowi, ochroniarze uprzejmie ściągnęli dla niego windę. Na czwartym piętrze weszła sekretarka. Ucieszyła się chyba, że go widzi – w końcu zepsuł się jej komputer. Najpierw były jakieś takie dziwne fajerwerki na monitorze, a potem to chyba wszystko się jakoś tak schrzaniło jakby, bo teraz to się nawet

uruchomić nie da... Westchnął. No tak, bo ona to tylko chciała odczytać ten mail i potem to tak jakoś... Pociemniało mu w oczach. Przecież tyle razy mówił...

Potem wszedł jeszcze handlowiec, on zawsze wiedział wszystko – kto i gdzie jest, kiedy i dlaczego wyszedł, co robi, a w szczególności z którą panią flirtuje. Gdy jechał promować produkty, wszyscy zdawali się wpadać w coś, czemu niedaleko było do euforii. Okazało się, że nie było jeszcze żadnego z informatyków. Gdzieś ponoć kręcił się Jura, ale nie była to stuprocentowo pewna informacja.

Admin westchnął. Chyba czekała go robota z zawirusowanym komputerem sekretarki. Był Jura. Jura! Na co mu Jura! Był przecież grafikiem. Jakie on miał pojęcie o oczyszczaniu dysków z wszelkiego badziewia, jakim faszerują się zdruzzeni lamerzy? Cholera wie, po co go w ogóle do tej roboty przyjęli. On to taka dupa wołowa – nic nigdy nie wie, wszystkiego się panicznie boi – dosłownie jak dziecko, przerażone, że zepsuje komputer, gdy naciśnie klawisz. Westchnął. Był wściekły na Jurę, głupkowato uśmiechającą się sekretarkę (czy sekretarki rodzą się takie głupie, czy w takim świetle przedstawia je mit blondynki-kretynki?) i zniecierpliwionego handlowca, który jak oparzony wyleciał na korytarz, zanim drzwi szóstego piętra otwały się do końca. Każdy wiedział, dokąd poszedł. Na plotki do księgowej. Trzydziestokilkuletni facet. Wstyd.

Na monitorze w sekretariacie widniał jakiś fatal error. Cholera jasna. Taki bzdet zajmie mu pół dnia.

- Tylko żeby mi tu nic nie zniknęło, nie kasuj mi tu nic, bo ja tutaj mam ważne rzeczy i list od burmistrza, Boże, szef mi głowę ukręci jak mi to usuniesz! – szczebiotała nad jego głową sekretarka. Najlepiej byłoby wysłać ją gdzieś, bo nie pozwoli nic zrobić. Tylko dokąd? Zajaśniało mu w głowie.

- Słuchaj, Uleńko, przynieś mi taką zieloną dyskietkę, pisze tam... – zastanowił się przez moment – pisze tam „awaryjny dysk Debian”. Leży u mnie.

Sekretarka przez kilka sekund stała bez jakiegokolwiek ruchu, po czym wystrzeliła w stronę głównego korytarza.

„Awaryjny dysk Debian” na zielonej dyskietce, potrzebny do usunięcia jakiegoś idiotycznego wirusa z Windowsa. Co za bzdura. Koń by się uśmieł.

Na szczęście nie trzeba było formatować. System nie startował z powodu jakiś kretyńskich ustawień w BIOSie – interesujące było, kto też mógł tu grzebać? Modrzewski na pewno nie byłby taki głupi, a Jura, jak się domyślał, nie wiedział pewnie, co to BIOS. Więc kto? Szef? Cóż, zadaniem administratora nie jest prowadzenie śledztwa w takich sprawach, toteż bezzwłocznie zabrał się do swoich spraw, odrzucając ten topic, jako niewarty jego cennego czasu. Wirus tkwił, jak byk, w katalogach systemowych, ale, dzięki Bogu, po delikatnej modyfikacji rejestru, dał się usunąć zwykłym skosowaniem. Jednak skaner wciąż zawieszał się na pięćdziesiątym siódmym procencie – podejrzane. Wśród wszelkiego badziewia, jakie tu się znajdowało, mogło być wszelakiego paskudztwa na pęczki. Wreszcie antywir ocknął się, wyświetlając alert o usunięciu kilku trojanów. To było rzeczą oczywistą, że koniki też tu się znajdują. Jeszcze jakiś spyware – efekt upartego używania starej przeglądarki o oklepanej nazwie i podejrzane zmiany w rejestrze. Pięknie. Ostatniego razu było gorzej. Zastanawiając się, czemu ochrona antywirusowa tak strasznie tu szwankuje, zresetował maszynę i wyszedł. Ulka nadal nie wracała. Chyba jeszcze nie odkryła, że on nie posiada żadnej zielonej dyskietki.

Idąc do serwerowni, po drodze wyciągnął jeszcze papier z zaciętej drukarki, zainstalował wszędzie łatkę do systemu, gdyż okazało się nagle, że wczoraj zapomniał tego zrobić, skierował jakiś przybyłych ekspertów do szefa, a ponieważ go nie było, kazał im dzwonić pod jego prywatny numer, gdyż służbowy był oczywiście zajęty, zaś któryś wyjątkowo rozsądny kolega, nie wiadomo jakim cudem, spalił procesor, więc nie obyło się także bez szukania po całym budynku Modrzewskiego, który pił sobie właśnie w najlepsze trzecią z kolei kawkę – świadczyły o tym dwa puste kubki leżące na parapecie, o który się opierał, rozmawiając z sekretarką – tłumaczył jej właśnie, że w firmie nie ma zainstalowanego Debiana, toteż nie ma tu awaryjnych dysków do tego Linuksa. Jak się okazało, Modrzewski zgubił telefon do serwisu, a w magazynie nie było żadnych zapasowych procesorów, bo kto mógłby pomyśleć, że jakiś dureń spali swój? Nie wiadomo było, czy płyta będzie działać i czy nie uszkodziły się pozostałe podzespoły. Kierownik uznał, że Adamczyk, bo tak właśnie nazywał się pechowy pracownik, będzie podciągnięty do odpowiedzialności finansowej za zniszczenie własności firmy, z czego natychmiast wybuchła wielka awantura. Admin wyniósł się stamtąd po cichu, zostawiając całą sprawę Modrzewskiemu, lecz na korytarzu złapała go koleżanka z wydziału sprzedaży, która miała problem z odebraniem jakiegoś wyjątkowo ważnego emaila. Chcąc, nie chcąc, był zmuszony odbyć wędrowkę na drugi koniec budynku. Tam okazało się, że droga była niepotrzebna, gdyż w międzyczasie problematyczna wiadomość ściągnęła się. Gdy wreszcie dopadł swój komputer i odebrał pocztę, ktoś oświadczył, że nie umie uruchomić odebranej skądś grafiki. To było zadanie dla Jury – on pewnie się gdzieś wałęsał, nie mogąc znaleźć dla siebie zajęcia, lecz nikt nie wiedział, gdzie. Machnął na to wszystko ręką, każąc wyjść przybyszowi. Kiedy on babrał się procesorami, wirusami, drukarkami i pocztami koleżanek, jakiś wyjątkowo nierozsądny hakier z dynamicznym IP, próbował dobierać się do firmowych danych. Zniechęcony niepowodzeniem, dał sobie spokój, gdy zabezpieczenia okazały się dla niego zbyt mocne, lecz pozostawił swój IP. Poważny błąd – pomyślał Admin. Numer nie odpowiadał jednak na pingi – najwidoczniej hakier odłączył się w międzyczasie od Sieci. Pieprzyć go. Pewnie jakiś małolat. Nie wróci drugi raz.

Na stronie zlotu programistów Delphi pojawiła się już oficjalna lista uczestników. W samą porę. Szef dał mu już na ślepo urlop, mimo że na nieoficjalnej liście jego nazwisko było dopiero w sekcji rezerwowych. Widocznie ktoś zrezygnował. I dobrze. Teraz pozostało tylko czekać do jutra.

Do biura wpadł Modrzewski, prosząc o sprawdzenie połączenia z Obsługą Klienta. Pracujące tam panienczki dopiero teraz, pod sam koniec dnia, spostrzegły, że nie da się przesyłać plików w LANie. Istotnie, ich komputery nie odpowiadały. Wyglądało to na uszkodzenie kabla. Sygnał urywał się pod portiernią.

Natychmiast ruszyli w miejsce awarii. Panienczki z Obsługi, nie wiedząc, czemu, biegały po korytarzu. Sprawdzili kabel – był cały. Modrzewskiemu przyszło na myśl, że może sieciówki padły – w portierni wszystko było jednak w porządku – w Obsłudze niby też. I kabel dobrze siedział, i konfiguracja była nietknięta, a i system widział kartę, więc wszystko było z nią w porządku. Może ustawienia protokołu? Sprawdzili wszystkie podejrzane komputery. Nie było żadnego błędu. Powinno śmigać na medal.

Dochodziła trzecia – panienci zdecydowały, żeby naprawić im to jutro, gdyż one i tak zbierają się już do domu. Admin był gotów wziąć nadgodziny – jeśli jutro rano nadal będą dręczyć go jakimiś drobnostkami,

nie będzie miał czasu tego zrobić. Wtem Modrzewski kiwnął nań głową, wskazując znaczek stanu połączenia. Gdy na to spojrzął, pociemniało mu w oczach. Siedząca przy pierwszym stanowisku lalunia, przypadkowym kliknięciem odłączyła od sieci siebie i swoją koleżankę. Modrzewski roześmiał się. Cała sytuacja wydawała mu się wyjątkowo zabawna. Admin westchnął tylko i wyszedł, kierując się w stronę swej przerdzewiałej skody.

Zaparkował pod swoim blokiem, ocierając pot z czoła. Było naprawdę upalnie. Sąsiedzi, tak jak i rano, również pojawili się na parkingu. Unikając ich ciężkich spojrzeń, zniknął w wejściu do klatki.

Wszedł do mieszkania, intensywnie myśląc, jakie zostały mu jeszcze zupy z paczki w jego trzydziestoletniej szafce z lat siedemdziesiątych. Była chyba tylko pomidorowa i barszczyk. Wpadł do kuchni. Nie mylił się. Rzucił paczkę na stół. Nawet nie miał nikogo, kto mógłby przyrządzić mu obiad, gdy wracał z pracy. Nikt na niego nie czekał i nie cieszył się na jego powrót. Swego czasu, planował kupić psa. Dużego wilczura, z którym mógłby chodzić na spacer. Marzenia przystrzygła jednak cena i osiedlowy regulamin, zabraniający trzymania czworonogów w mieszkaniu. Zrezygnowany, zamiast psa kupił sobie porządną kamerkę internetową.

Czekając, aż woda zacznie wrzeć, zbudził komputer ze stanu uśpienia, po czym pokroił jedyny pomidor znaleziony w lodówce, żeby zupa nabrała trochę żywszego smaku. Podczas jego nieobecności, przez otwarte okno wleciał cały rój komarów. Niedobrze – pomyślał, widząc tłoczące się pod sufitem owady. Zupełnie nie miał ochoty wchodzić na krzesła i ścigać z klapką tych małych krwiopijców. Przypomniał sobie niedosłzłego hakera i doszedł do wniosku, że jednak powinien zainteresować się tą sprawą i spróbować namierzyć dzieciaka, mimo że zupełnie nie miał na to ochoty.

Zupa nie udała się najlepiej - była za kwaśna. Poza tym jednym jedynym smakiem, nie posiadała żadnego innego. W dodatku nawet po dodaniu pokrojonego uprzednio pomidora, nie miała żadnego zapachu. Z niesmakiem zanurzał w lurowatej cieczy kolejne, niepełne łyżki. Przyszły mu na myśl zupy gotowane przed laty przez jego matkę – pomidorowa z kluseczkami, słynny na całą dzielnicę chłodnik i delikatne kremy. Gdy matka gotowała obiad, w całej kamienicy roznosił się jego apetyczny zapach, a co sprytniejsi sąsiedzi planowali króciutkie odwiedziny (a no bo trzeba było przecież oddać pożyczony przed tygodniem durszlak, etc.), wypadające akurat, niby to przypadkiem, w porze obiadu. Ta... Tamte obiady były naprawdę nieskończenie lepsze od tych papek pociskanych w supermarketach, szczyjących się kolorową etykietką z napisem „zupa”. Gdy wreszcie odstawił talerz do zlewu, poczuł ulgę.

Podczas gdy gotował coś, co właściwie zwało się obiadem, choć szczerze mówiąc mało miało z nim wspólnego, nadeszła nowa wiadomość. Miał nadzieję, że było to może coś interesującego, lecz nikłe nadzieje przekreślił tytuł „promocja”. Spam.

Przyszło mu na myśl, że powinien spakować się na zlot. Właściwie nie było potrzeby brać zbyt wielu rzeczy – zajęcia trwały tylko trzy dni. Bo w końcu ileż można mówić o programowaniu? Gdyby jeszcze były wykłady z C i C++, ale nie, gdzie tam, jak zjazd delphiarzy, to zjazd delphiarzy, zajęcia miały być tylko z Delphi.

Do wieczora zostało kilka godzin – siadł więc przed telewizorem, wyciągnąwszy uprzednio dwie butelki piwa z lodówki i latając po kanałach, starał się znaleźć coś ciekawego. Jak przez sen słyszał urywki

programów. „Zabiję cię”, „... na temat nowelizacji ustawy...”, „...Sejmu i Senatu odbędą się za dwa tygodnie...”, „Zachmurzenie umiarkowane”. „Aj low ju...”, „siedemnaście tysięcy zostało rannych”, „muzykę poważną? Dlaczego by...”

Prognoza pogody?

Pośpiesznie wrócił na kanał, na którym urodziwa pogodownka wskazywała czarne chmurki nad Atenami. Wreszcie przeszła do omówienia pogody w kraju. Tak... Zachmurzenie. Gwałtowny spadek ciśnienia. Deszcz. Cudownie. Wymarzona pogoda na kieszonkę w dusznych salach ośrodka. Prezenterka uśmiechnęła się i ustąpiła miejsca na antenie reklamie środków czyszczących.

Admin rzucił pilotem w kąt, przechylając butelkę. Nic specjalnego. Na co komu to pudło, tylko zagraca pomieszczenie. Może i jest to jedyne sensowne miejsce na doniczki z kwiatkami, ale... jakby trochę za duże jak na tak niewielki cel.

W firmie, jak zwykle, ktoś pogubił się w wypełnianiu elektronicznego formularza, to znów padł przeciążony serwer poczty, gdzieś zainstalował się trojan, a kilku użytkowników, pomimo niedawno przeprowadzanego kursu, zupełnie zapomniało, jak obsługuje się system. Z niecierpliwością czekał na nastanie południa, kiedy to miał opuścić ten gwarny i nerwowy budynek, by wyjechać na zlot. W międzyczasie Modrzewski oznajmił, że Adamczyk ma już nowy procesor, a wszystko dzięki jego kilkunastu telefonom, jakie wykonał tuż po powrocie do domu.

Wreszcie nadeszło upragnione południe. Kiwnął głową kierownikowi, siedzącemu akurat w serwerowni i wyszedł, sprawdzwszy wcześniej kilkakrotnie logi i działanie wszystkich elementów sieci, choć i tak był pewien, że może spodziewać się przynajmniej kilku telefonów z informacją, że coś siadło.

Bez większych problemów wyjechał z miasta. Mijając ostatnie zabudowania, obliczył po raz kolejny długość, czas i koszt przebycia całej trasy. Nie miał właściwie nic lepszego do roboty – droga była tak prosta, że nawet dziecko z zawiązanymi oczyma trafiłoby do celu, nie gubiąc się ani razu, a ruch był wyjątkowo mały. Przeszkadzać mógł jedynie lejący deszcz, ale dla wytrawnego kierowcy to przecież żadne utrudnienie.

Jechał teraz przez rozległe pola, tuż przy horyzoncie zlewające się z wszechobecną szarością, lejącą się wprost z nieba. Tu i ówdzie leżały porozrzucane wsie i miasteczka ze strzelistymi wieżami kościołów, postawionych chyba raczej z zasady, że w każdej miejscowości powinien znajdować się jakiś przybytek boży, aniżeli z prawdziwej, wielkiej i żywej wiary. W pola powtykane były pojedyncze drzewa. Admin całe swe życie przeżył w miastach – od zabytkowej mieściny, z kolorowymi kamieniczkami, prawdziwym zameczkiem i parkiem, mogącym uchodzić za las, poprzez wielką metropolię, rozstawioną na cały świat między innymi dzięki znajdującemu się tam znanemu i szanowanemu uniwersytetowi, skończywszy na brudnym i śmierdzącym mieścisku, o którym nikt wolał nawet nie pamiętać, w którym to znalazł swoją pierwszą poważną pracę, aż w końcu wylądował na stanowisku administratora, które za szczenięcych lat było jego największym marzeniem, zdającym się być niemal niemożliwym do osiągnięcia szczytem. Teraz osiągnął go i spostrzegł, że wyżej nie potrafi już wejść. Kolorowa tęcza, okalająca niegdyś wierzchołek, z każdym dniem bladła coraz bardziej, by wreszcie zniknąć na zawsze. Zamiast tego pojawiło się rozczarowanie, znudzenie i wszechobecna gorycz, rzucająca wyrzutami w każdy element ułożonego z nieregularnych klocków świata,

jakby mając nadzieję, że zburzy okoliczne ściany, choćby tylko po to, by napętnić się satysfakcją z dokonanych zniszczeń. Życie zszarzało, zaczęło ciągnąć się, przypominając szarą, kleistą papkę, bez żadnego określonego kształtu, smaku i zapachu. Było po prostu nijakie, bezbarwne. Nawet jego temperatura obniżyła się, by można było uznać ten stan za wegetację. Jak można było to zmienić? Nijak. Wystarczyło tylko się do tego przyzwyczaić. Wbrew pozorom, nie było to przecież takie straszne. Bo co niby złego jest w otuleniu się szarą i po stokroć nijaką, ciepłą masą, dającą prowizoryczne, niby to bezpieczne, schronienie, nie wymagającą jakiegokolwiek wysiłku, by utrzymać ją przy życiu? Przecież tak nikogo się nie krzywdzi, nikogo nie szokuje, nikomu nie dostarcza się powodów do pretensji. Wszystko jest więc w porządku. Nie wolno się okłamywać? Wolno.

Przy wjeździe do jakiegoś miasta dostrzegł olbrzymi billboard z napisem „Stereotyp”. Stereotyp? Zdziwił się. Dlaczego akurat stereotyp, a nie na przykład „czekoladowe biszkopeciki”? Westchnął. Dziś firmy chwytają się wszelkich środków, byleby tylko przyciągnąć klienta.

Stereotyp. Nadeszło pierwsze skojarzenie – autorytet. Ale co to ma do rzeczy? Nic. Źle. Schemat, szablon. Lepiej. Dwa punkty. Przypomniał sobie, jak dobre kilkanaście lat temu wylewał siódme poty nad kartką, na której to miało powstać czterostronicowe wypracowanie na temat stereotypów. Za to, co wtedy sklecił dostał jedną z najniższych możliwych ocen – toteż zawczasu wołał wyrzucić to zdarzenie ze swej pamięci. Ciężkie to były czasy. Jako jedyny z całej szkoły, ba, może nawet i całego miasta, posiadał komputer – wszystko tylko dzięki temu, że jego ojciec, co dla innych było rzeczą niesamowitą, był informatykiem i posiadał własną maszynę, którą kupił za wielkie pieniądze od jakiejś legendarnej firmy. Pamiętał doskonale – miał wtedy zaledwie sześć lat. Przyglądał się, jak ojciec sprawnie wklepuje komendy na starodawnej klawiaturze. O myszkach wtedy się jeszcze nie śniło. Później nadszedł czas, kiedy sam mógł zasiąść przed ekranem – ojciec dostał skądś beta wersję DOS'a – to dopiero był system! Nareszcie coś dla ludzi. W wieku piętnastu lat sam zaczął programować – zaczynał od jedenastoletniego wówczas C – tak postanowił i tak zrobił. Proste programiki zawierające tylko cout << „witaj świecie”; już po roku przekształciły się w wieloplikowe aplikacje, toteż do dziś uważał ten język za najlepszy i wołał programowanie w C od jakiegoś Delphi czy microsoftskich platform .net. Wtedy też nadeszła też wielka fascynacja hakerami – był to przecież okres, w którym daleko za zachodnimi granicami głośno było o Mitnicku, Poulsenie i innych sieciowych przestępcach. Zabezpieczenia nielicznych wówczas urzędów były minimalne, a umiejętności hakerów wielkie, toteż echa tworzących się grup dochodziły również do kręgów informatyków tkwiących na wschód od berlińskiego muru. Wśród niewtajemniczonych mas szybko utworzył się stereotyp opisujący hakera, mylony wśród coniektórych młodych fanów techniki z autorytetem – niewyspany, blade, z podkrążonymi oczami, w za dużych, byle jakich ciuchach, mający głowę zaprzątniętą tajnymi kodami i hasłami, potrafiący przez naciśnięcie klawisza, na odłączonym od Sieci komputerze zniszczyć dane na dysku urzędu znajdującego się setki mil dalej – tak, tak, masy zaczęły się ich bać. Stereotyp obrastał w coraz to nowsze szczegóły. A wszystko z niewiedzy, tej straszliwej niewiedzy!

Admin przypomniał sobie, jak pewnego dnia, będąc już na studiach, wraz z kolegami postanowili dla zabawy włamać się na konto administratora uczelnianej sieci komputerowej. Za pomocą zwykłego, napisanego przez niego trojana, podmieniającego monit logowania, w ciągu jednego dnia zebrali prawie

dwadzieścia haseł zwykłych użytkowników, lecz niestety nie tego najważniejszego – hasła roota. Drugiego dnia cała sprawa wyszła na jaw dzięki nadgorliwemu koledze, za co o mało nie zostali wyrzuceni z uczelni, lecz co tam! Byli już przecież hackerami.

Z uśmiechem spojrzął w lusterko. Oprócz widoku na szosę za pojazdem, ujrzał też swoje zmęczone spojrzenie i bladą twarz. Nie zdziwiło go to – wyglądał tak już od wielu lat. Przecież w końcu był hackerem, no nie? Roześmiał się głośno. Doskonale pasowałby do tego stereotypu. Tak, stał się nim. Przez te wszystkie lata, z których teraz śmiał się, dążył do tego, by stać się jak jego autorytet – stereotyp krążący po nie znających się na rzeczy ludziach.

Zdziwiło go to stwierdzenie. Miał ochotę pomyśleć nad tym dalej.

Spojrzął jednak na drogę – należało przecież kontrolować, co się dzieje. Skamieniał. Przez leśną uliczkę przechodziła dziewczyna. Spojrzął na licznik. Stówa. Nie wyhamuje. Zabije ją. Wcisnął pedał. Byle się udało... Usłyszał pisk własnych hamulców. Nie mógł ich puścić. Poczuł, że opony ślizgają się po mokrej nawierzchni. Obróciło nim kilka razy. Ujrzał tylko ciemnozieloną smugę, po czym zastygł w bezruchu. Widział już tylko ciemność.

Poraziła go otaczająca go biel. Wszechobecny blask. Ciepły, bezpieczny. Przyjemny. Niebiański. Więc jednak niebo? Jakie tam niebo! Niemożliwe. Nie wierzył w to. Więc co? Piekło? Przecież nie! Nie ma takiego czegoś! Nie ma! Nie ma! Zamknął oczy. Musiał to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Przemyśleć?! Skoro chce coś przemyśleć, chyba jeszcze nie umarł – to stwierdzenie tak bardzo go uspokoiło, że uszczęśliwiony leżał przez chwilę zupełnie bez ruchu, wsłuchując się w kojącą ciszę.

Ponownie otworzył oczy. Niebo? To miało być niebo? Zachciało mu się śmiać. Poczuł jednak, że nie może się poruszyć. Cholera. To wcale nie było takie śmieszne. To nowe doznanie przywróciło mu trzeźwość umysłu. Rozejrzał się wokół. Leżał w białej sali szpitalnej, z jednym oknem i drzwiami. Naprzeciw łóżka stał drewniany stolik z jakimiś tajemniczymi naczyniami. Spojrzął na samego siebie – jak się zresztą wcześniej domyślał – leżał w łóżku, prawdziwym szpitalnym łóżku, z twardym materacem i niebieską pościelą. Podłączono go do jakiś przewodów – szybko zorientował się, że jednym z nich była kroplówka. Przeraziło go to nie na żarty. Postanowił więc sprawdzić sprawność kończyn – ku swojemu zadowoleniu potrafił poruszać obiema nogami, chociaż sprawiało mu to ból. Do prawej ręki podłączoną miał kroplówkę, więc nie za bardzo chciał nią poruszać, ale chyba także była sprawna. Gorzej było z drugą – dopiero po dłuższej chwili udało mu się stwierdzić, że jest w gipsie. Z początku przstraszyło go to, lecz uznał, że nie jest najgorzej. Nie raz czytał o ofiarach wypadków drogowych. Wiele z nich nie dożyło wyciągnięcia ze zmasakrowanego pojazdu.

Przypomniał sobie dziewczynę. Przed oczami stanęła mu cała sytuacja. Chyba jej nie zabił...?! Miał ochotę wstać i jak najszybciej dowiedzieć się, co z nią. Pragnął informacji, informacji, zwykłych, suchych informacji...! Zawsze były na wyciągnięcie ręki... Wystarczyło tylko wklepać odpowiednie hasło w googla... Teraz obłędna cisza miała być odpowiedzią na wszystkie pytania. Gdyby ona nie żyła... Boże, do końca życia nie wyszedłby zza krat. I jeszcze te wyrzuty sumienia... To mogłoby, uczciwego i w zasadzie dobrego człowieka, jakim był, zabić w jedną chwilę. Jeśli ona nie żyje... Jeśli to on ją zabił... Nie chciał myśleć dalej. Zamknął oczy. Ciemność. Cisza. Brak jakichkolwiek bodźców z zewnątrz. Chciał tego. Potrzebował. Jeszcze

raz to wszystko przemyśleć... Usłyszał ciche chlipnięcie. Cisza! Cisza! Jeśli zabił tę dziewczynę, gdy tylko wyjdzie ze szpitala, rozpocznie się włączenie po sądach... A potem można pożegnać się z pracą i całym życiem... co za paskudna perspektywa.

Coś znów chlipnęło. Całkiem blisko i całkiem realnie. Każdą nieprawidłowość trzeba zbadać – to wiedział każdy administrator. Odwrócił się w stronę, z której dochodziły dźwięki. Dopiero teraz spostrzegł, że w pokoju znajduje się owa dziewczyna. Głęboko odetchnął. Więzienne kraty uciekły daleko za horyzont.

- Przepraszam – szepnęła, gdy zauważyła, że już się ocknął. – Przepraszam! Przepraszam... Jestem taka głupia... Taka nierozsądna... Wszystko przeze mnie... Przepraszam... – dodała, wybuchając płaczem.

Chciał ją pocieszyć, lecz, jak to zwykle w takich sytuacjach bywało, żadne sensowne słowa nie przychodziły mu do głowy.

- Nic się nie stało – duknął, na co dziewczyna wybuchnęła jeszcze większym płaczem.

Na salę weszła kobieta, ściskając w dłoniach staroświecką torebkę i poprawiając opadające na oczy jasne kosmyki, dość mocno pokryte farbą, zakrywającą aż sto jeden procent siwych włosów.

- Idziesz? – zapytała i nie czekając na odpowiedź zniknęła za drzwiami.

- Przepraszam – szepnęła po raz ostatni dziewczyna i również wyszła.

Admin chciał uporządkować wszystkie zdarzenia w pamięci, by pozbyć się tego okropnego uczucia strachu i zdenerwowania. Nie zdążył. Zapadł w sen.

Gdy się obudził, do pokoju zawitały już promienie porannego słońca. Z utęsknieniem spojrzął na leżącą na odległym stoliku komórkę. Zapewne od czasu, kiedy po raz ostatni miał ją w dłoni, nadeszły dziesiątki wiadomości od zdesperowanych pracowników z niecierpiącymi zwłoki sprawami jak uruchomienie Worda, zresetowanie komputera czy przesłanie danych na inny komputer. Musiał zadzwonić do szefa i wyjaśnić mu, że zlot programistów Delphi zapewne bardzo się przedłuży... wyobraził sobie, co zapewne dzieje się teraz w firmie... Zamęt... Chaos... Biegania... Krzyki... Kłótnie... Dziesiątki skrzywionych gęb... Zidiociałe lalecзки biegające z biura do biura... Horror! Przeciwstawił cały ten harmider spokojowi panującemu na sali... Ciszy... Nawet nieźle się złożyło z tym wypadkiem...

Wtem jedna myśl, rozbiła jego zadowolenie z gratisowego urlopu, rozsypując je w proch, jak wzburzona fala rozbija nowo wzniesiony zameczek z piasku. HASŁO. Modrzewski... nie... zna... hasła... do... nowego... serwera...! Znad horyzontu nadciągała stuprocentowo pewna katastrofa, pisana przez ogromne K, podobne do olbrzymiego inicjału z średniowiecznej księgi. Serwer postawiony półtora tygodnia temu. Jeszcze nie do końca sprawdzony, nie do końca skonfigurowany, nie do końca znormalizowany. Pozostał bez jakiegokolwiek opieki, jak porzucone przez matkę niemowlę. Oczywiście stało się, że padnie do końca tygodnia, gdy nie będzie nikogo, kto mógłby zmienić mu pieluszkę...

Telefon, telefon! Musi, po prostu musi zadzwonić do Modrzewskiego, na którego spadły teraz wszystkie obowiązki administrowania kilkuselementową, firmową siecią. Jeżeli w porę nie dostanie swego telefonu... Wolał nawet nie myśleć, co się stanie. Najpierw, na skutek braku kontroli nad przeładowaniami, pracownicy zapchają żądaniami bazę danych. Wtedy zaczną dzwonić, mailować, faksować, szukać szefa, Jury, Modrzewskiego i Bóg wie, kogo jeszcze. Ci, którzy będą szczęśliwymi posiadaczami kopii danych, zaczną rozsyłać je współpracownikom, lub, co gorsza, drukować stosy

papierów, zużywając tusz i papier, a w efekcie i toner awaryjnej laserówki. Zapcha się przy tym serwer wydruków, przystosowany raczej do co najwyżej kilku użytkowników równocześnie. Jako że faks i drukarki działają na wspólnej maszynie, komp się zrebotuje, a potem... Potem będzie już tylko gorzej. Padnie wszystko po kolei, a pracownicy sami spowodują, że 50% komputerów będzie się nadawało tylko do sformatowania. Co jeszcze może się stać? To, co zawsze – setki drobnych awarii, zdarzających się dość sporadycznie, ale zdarzających się...

Wyobrażając sobie najwymyślniejsze komplikacje, błędy oprogramowania i uszkodzenia sprzętu, doczekał się pory obiadowej. Posiłek nosił ślady zupek z paczki, doskonale mu znanych, lecz niestety, nie mógł się z nimi równać.

Po obiedzie nastął czas odwiedzin, trwający aż do kolacji. Na korytarzu zaroilo się od zatroskanych babulek, zatrwożonych dzieciaków i mężnie kroczących panów w workowych kapciach. Do jego sąsiada z łóżka stojącego tuż pod oknem, przysłała jakaś elegancka kobieta z czarną aktówką. Admin, przymknął oczy, udając, że śpi. Był pewien, że jego nie odwiedzi nikt. Poza tym miał dość narzekań jego połamanego kolegi, którego przywieźli kilka godzin wcześniej, jako ostrzeżenie, by być szczególnie ostrożnym przy robotach na wysokościach. Od tego czasu cisza wypełniła się jego pojękiwaniami. Admin miał go szczerze dosyć.

Drzwi do ich sali otworzyły się po raz drugi, przeciągle skrzypiąc. W drzwiach stała owa dziewczyna, za której to sprawą znajdował się tutaj.

- Mama mnie przysłała – powiedziała, wyciągając jakieś papiery, długopis i kalkulator.

Kobieta i połamaniec wrócili do rozmowy, Admin zaś przypomniał sobie telefon, który miał wykonać. Ta dziewczyna spadła mu jak z nieba!

Gdy wreszcie dostał swoje urządzenie, bez wahania wykręcił numer Modrzewskiego. Kolega odebrał jakby z ociąganiem, każąc mu odczekać kilka sygnałów. Uśmiechnął się. Doskonale to znał. Pewnie Modrzewski ma urwanie głowy. Głos informatyka zdawał się zdradzać zmęczenie. Jego przypuszczenia się sprawdziły – zapchała się baza, a kilku pracowników, korzystając z okazjnego zamieszania, skopiowało sobie licencjonowane oprogramowanie. Modrzewski ucieszył się z hasła – obawiał się, że brak kontroli może nieść za sobą nie najciekawsze skutki. Admin z zadowoleniem odłożył telefon na podręczną półkę.

Dziewczyna skończyła liczyć i zapisawszy na kartce wyniki, wyjęła z reklamówki pojemnik z ciastem i wołowiną, stawiając go na podręcznym stoliku.

- Mama prosiła, żeby zjadł pan to od razu, panie administratorze. Nawet lubię produkty pana firmy – dodała po chwili z szatańskim uśmiechem. – Mimo że mają fatalne opakowania.

- Cóż, nie ja to ustalę – odparł zdziwiony Admin. – Skąd...

- Pańskie kapcie są owinięte firmową reklamówką, a obok telefonu zdaje się leżeć jakiś identyfikator... – wyjaśniła z wyższością.

Admin spojrzął na stoliczek. Istotnie, leżała tam wspomniana plakietka. Zawsze zapominał jej zdjąć, wychodząc z pracy.

- Brawo. Nietrudno było się domyślić – rzucił czekając, aż jego gość wyjdzie. Nie lubił rozkapryszonych, głupich, chichoczących dziewczynisk, uważających się za ósmy cud świata. Za takową uznał także i siedzącą na stołku i wpatrującą się tępo w okno dziewczynę.

- Więc jest pan administratorem – powiedziała niby to od niechcienia, lecz w jej głosie ukrywała się nieopanowana ciekawość. – Proszę natychmiast opowiedzieć mi wszystko, od początku do końca, z każdym szczegółem! – wybuchnęła nagle.

Admin spojrział na nią, zaskoczony taką prośbą. To było najosobliwsze życzenie, jakie kiedykolwiek słyszał. Zazwyczaj spotykał się tylko z prośbami, a właściwie z rozkazami w stylu „napraw mi komputer”, wypowiedzianymi najczęściej z nieukrywaną złością skierowaną przeciwko winnym złu całego świata komputerom, które wprost uwielbiają się psuć, kiedy resetuje się je co pięć minut, gubić dokumenty, kiedy instaluje się piętnaście tysięcy gier w najmniej oczekiwanych katalogach i nie chcą się uruchamiać, kiedy wywala się antywirusy – bo to przecież najgorsze badziewie pod słońcem, cały czas coś chce, ale co? Jeść? Pić? A cholera wie! Skoszować antywira!

- Chciałabym wiedzieć wszystko. Od początku. Od kiedy zaczęła się pana fascynacja komputerami? Jakie przybierała kształty? Panie administratorze, proszę...!

- Czy obiecujesz, że potem dasz mi spokój? – spytał, uśmiechając się szeroko, jak za dobrych, studenckich czasów.

Myślami wrócił do tamtych dni, snując opowieść o wyglądzie i działaniu pierwszego znanego mu peceta. Znów znalazł się w ciemnym hollu wśród bordowych zasłon. Poczł się dzieckiem, nieśmiało zerkającym na czarno-biały ekran, pełen tajemniczych znaków... Pierwsze dni w szkole, mieszczącej się w całkiem przeciętnym, żółtym gmaszysku, otoczonym topolami, nie należało do najprzyjemniejszych. Znalazł się nagle wśród setek dzieci. Dostrzegł wtedy, że jest sam. Samotność w tłumie – ta boli bardziej. Dotarło to do niego po dobrych kilku latach spędzonych wśród przyjaciół nigdy nie będących jego przyjaciółmi. Matowa, półprzeźroczysta ściana złudzeń zniknęła, ukazując realny, aż nazbyt rzeczywisty świat o ostrych konturach i kontrastowych, ciemnojaskrawych barwach. Nie chciał tego. Wolał nadal mydlić sobie oczy, tak jak dawniej, lecz ostrość widoku coraz bardziej wrzynała się w jego skromne istnienie – skoro nie miał już ochronnej mydlanej bańki wokół siebie, świat mógł bezkarnie napierać na niego, nie martwiąc się tym, czy go zgniecie czy tylko zadusi.

Wtedy podjął decyzje. Najważniejszą w swoim życiu - postanowił zniknąć. Zdematerializować się. Pomachał więc wszystkim obcym i zniknął, pozostawiając wizytówkę ze swym adresem <http://>. Biała, niewinna karta natychmiast zniknęła pod tysiącami zabłoconych obcasów, przytłoczonych ciężarem swego istnienia. Drzwi zostały zamknięte. Nie było drogi powrotnej.

Nie przejął się tym zbyt wiele – miał wszystko, czego potrzebował. W przytulnej norce urządził swój świat, zwieńczony błyszczącym w górze marzeniem, do którego postanowił dążyć. Było tylko jedno, żeby nie przemęczyć się zbyt wiele, miało wymierny kształt i rozsyłało raczej nie najjaśniejsze promienie. Ale było przecież jego marzeniem... To nadrabiało wszelkie niedoskonałości.

Wspinaczka, tak jak się zresztą domyślał, okazała się trudna, ale całkiem możliwa do ukończenia. Szczyt białł w promieniach marzenia, dodając otuchy w chwilach załamania i śląc w dół bezbarwne

gołębie, aby mógł się nimi pożywić. Wreszcie szczyt został zdobyty. A potem rozpoczęło się powolne, ślimacze, jakby wielokrotnie zwolnione opadanie w dół, ku ziejącej mrokiem przepaści, rozpościerającej się daleko poza zasięgiem zmęczonego szczęściem, zrodzonym przez sukces, wzroku. Gdy ją dostrzegł, zdawało się być już za późno. Chciał odbić się od falującego powietrza, nabrać tlenu w płuca, rozpostrzeć skrzydła i wzlecieć na swój własny, prywatny szczyt. Leczą... Norka okazała się być za ciasna, uwierając przy wykonywaniu ruchów – nie dało się wyciągnąć ręki w stronę grani, przychwycić wystających głązów, ani nawet wzlecieć w górę na skrzydłach przelatujących okresowo wiosennych ptaków. Spadał w dół, dół, dół, coraz niżej i niżej, wysoko w górze zostawiając cukrowe śniegi oblewające stoki gór, słodkie obłoki oświetlane ciepłym, jasnym marzeniem – teraz stracił je z oczu. Ukryło się za mrocznymi skałami wąwozu, chciwie odbierającymi wszelkie cząsteczki światła. Jego świat, misternie upleciony z szaro - kolorowych strzępków, niteczek, rzemyków i szeptów splecionych myśli, otulił go szczelnie, niby kokon. Leczą nie dane mu było nigdy przeobrazić się w cudnego motyla o gładkich skrzydłach. Na zawsze miał pozostać okaleczoną larwą ćmy.

Wąwóz zamieszkiwany był przez Samotność. Jej szare, zażawione oczy patrzyły na niego z wyrzutem. Właściwie spotkał ją już w pierwszych dniach swego dzieciństwa, bawiąc się w wymaginated piaskownicy, gdy ta kradła mu grabki. Od kiedy zadomowiła się, jak pasożyt, w jego otoczeniu, po kryjomu podkradała jego chęć do życia, pomysły na nowe przedsięwzięcia i radość z osiągniętych sukcesów. W końcu pozostały tylko marne okruszyny, boleśnie wbijające się w dłonie, gdy próbował je podnieść, by przypomnieć sobie, czego są wspomnieniem.

Dziewczyna wstała gwałtownie. Admin ocknął się, wracając do realnego świata.

- Proszę opowiedzieć mi tę drugą, jasną stronę pańskiego życia. Proszę... – odezwała się wreszcie błagalnym tonem.

Dzień, w którym wiatr zerwał ostatnie kwiaty z kwitnących kasztanowców przypieczętował przyszły, wymarzony już i doskonale zaprojektowany los. Zamaszyście zakreślona 5 tkwiła na okopertowanym świadectwie, napawając dumą ojca i jego samego. Tylko matka kręciła głową. Kleks czarnego atramentu nie sprął się z białego kołnierza.

W powodzi zbrązowiałych liści, podniecony z oczywistych względów nieznanym wcześniej uczuciem bycia studenciną, podążał na pierwsze zajęcia z analizy matematycznej, by po dwudziestu pięciu minutach raz na zawsze znienawidzić ten przedmiot. Dobrzy koledzy, inicjatorzy wszelkiej anarchii i bałaganu pomiędzy rubrykami tabeli zajęć, skromne obiady na taniej, studenckiej stołówce, pełne miejskiego słońca, ale zimne sale, miesięczne bileciki na autobus, pokój na poddaszu, zamieszkiwany przez sześć osób z zupełnie odmiennych światów. Czas niezapomniany, zamknięty kolejną białą kartą z lepszymi lub gorszymi notami.

Torba, pociąg i marzenie – było już tak blisko! Dworzec – to wahanie – dom? Marzenie? Ruszył przed siebie, oddając się losowi. Bilet na piętnastą stację. I znów trafił na początek. Cztery literki tłukły mu się po głowie, opustoszałej ze szczęścia, odbijając się echem, gdy gorączkowo przeglądał świstki z ogłoszeniami. HOME. Tak, chciał znaleźć początek. Nitkę, zagubioną nić Ariadny, aby uchwycić się jej kurczowo i dojść do kłębka, do celu i przeznaczenia swego życia. Szukał czterech wolnych ścian. Wolność

mieszkała na drugim piętrze szarego, nowo wybudowanego bloku, zapraszając do obejrzenia własnej łazienki, małej, ale użytecznej kuchni, sypialni z widokiem na nowoczesne osiedle, pokoju w sam raz na jeden telewizor, przedpokoju, w którym także mieściła się tylko jedna para butów i balkonu. Całość składała się na jedno słowo – luksus. Czynsz miał wynosić zaledwie niewielką część jego przyszłej pensji. Kusząca propozycja. Niestety, w okolicy nie założono jeszcze telefonu. Kontakt z początkowym początkiem został uniemożliwiony. Zostały świąteczne kartki i urodzinowe herbatki z ciasteczkami.

Od tego czasu nie zmieniło się nic oprócz współczynnika jego chęci do życia, malejącego z każdą godziną.

Połamaniec zasnął, a jego żona wyszła w międzyczasie, znudzona monotonnym głosem Admina.

- Extra – ucięła dziewczyna, biorąc na kolana zeszyt i zaczynając coś w nim pisać. – Zapewne jest pan dobry w C... – powiedziała ni stąd, ni zowąd. – Mogę prosić o sprawdzenie tych programików? – spytała, podsuwając mu pod nos zapisany starannym pismem brulion.

lostream, cout <<, instrukcje if – else, array'e, klasy... Admin poczuł, że wpływa na znajome, ciepłe wody jakże bardzo lubianego języka. Sposób rozwiązywania postawionego problemu był mu zaskakująco znajomy. Czyżby widział gdzieś taki program? Może sam go pisał? Zazwyczaj przeglądając źródła pisane przez obcych programistów musiał sporo natrudzić się, by cokolwiek z nich pojąć. Czasem ich kody pełne były naleciałości z innych języków, kiedy indziej zaś sposób okomentowania całości budził wiele zastrzeżeń. Lepsi stosowali zbyt duże uproszczenia, mniej zaawansowani nadkładali zaś zbyt wiele kodu, by uzyskać prawidłowy wynik. Najgorsi byli chyba laicy – perfekcjonisci, którzy rozpatrywali każdy przypadek z osobna, patrzeli fragmentarycznie i chcieli myśleć za procesor. A takich nigdy nie brakowało. Dlatego szukając w Sieci gotowców rzadko kiedy z czegokolwiek korzystał – zawsze wolał samodzielnie rozwiązać problem, choćby nawet miało mu to zająć kilkakrotnie więcej czasu. Tym większe było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że rozumie każdy szczegół działania programu, już po pierwszym przejrzaniu linii.

Przerzucił kilka stron wstecz, w poszukiwaniu kolejnych programików. C, C++, Pascal, Delphi, skrypty PHP – programiki przypominały mu dawne lata, kiedy życie nie wydarło mu jeszcze z rąk chęci tworzenia, działania, kreowania lepszego świata. Na pierwszej stronie znalazł szkic glidera. Z dumą spojrzął na spoglądającą w okno dziewczynę. Była na właściwej drodze. Mógł więc jej zaufać.

- Naprawdę? – spytał Admin, wskazując na obrazeczek.

- Chcę być hakerką – oznajmiła dziewczyna. – Dobrą hakerką.

Połamaniec z sąsiedniego łóżka poruszył się niespokojnie. Nieładnie podsłuchiwać...

- To moje największe marzenie... – kontynuowała dziewczyna. – Robić coś dla świata... Ot, tak sobie, uczestniczyć w tworzeniu Internetu albo jakiegoś nowego systemu... Piękne, prawda? Do dziś wiedziałam o tym tylko ja. Sama się dziwię, dlaczego o tym wszystkim panu mówię. Sama nie wiem. Może po prostu nikt z ludzi, których dotychczas znałam nie okazywał mi najdrobniejszego zainteresowania? Przeganieli mnie jak natarczywego owada...

Admin wzdygnął się. Jeszcze kilka dni temu urządzał w swym mieszkaniu polowanie na muchy.

- Więc jak z tym hackiem? – spytał Admin, starając się jak najlepiej okazać zainteresowanie. – Jakież projekty, programy...?

- Co mam panu powiedzieć? – rzuciła dziewczyna, wtapiając w słowa nutkę wyrzutu.

- Po prostu zacznij...

- Zawsze wolałam poprogramować niż o czymkolwiek opowiadać.

- Nie, dość codingu. Od tego człowiek otwiera lodówkę myśląc o algorytmach, które zegną palce prawej ręki, by mogły ścisnąć klamkę, a przed oczami stają schematy blokowe będące rozwiązaniem problemu otwarcia drzwi.

- Znam to. Wspaniałe uczucie.

- Z początku tak, gdy nie minie jeszcze zafascynowanie oglądaniem programów od podszewki. Lecz potem przeradza się to w natręctwo. Każdym oddechem zaczynają kierować algorytmy. Ale człowiek to nie program. Większością podstawowych funkcji kieruje sam. Nie można go wyręczać. Nie można nakazać żołądkowi trawić. Nie można zmusić serca do bicia w innym rytmie.

- Tak... Żaden programista nie napisze czegoś doskonalszego od działania ludzkiego organizmu. Nikt nie będzie lepszy od tego Wielkiego Programera... Mimo to chcę spróbować. Napisać wirtualnego człowieka.

- Wielu miało takie zamiary...

- Domyślam się. Nie jestem oryginalna. Nigdy nie miałam nadających się do czegokolwiek pomysłów. Wszystko skończyło się tylko na przekopiowaniu czyjejś idei.

- Przyjrzyj się pracy zespołów badających sztuczną inteligencję.

- Pójdę już.

- Przeglądaj publikacje ze wszelkich rodzajów logiki.

- Proszę nie zapomnieć o obiedzie.

- Dam ci namiary na odpowiednich ludzi – trochę ich znam.

- Dobranoc.

- Nie zabieraj się za to bez odpowiedniego przygotowania, bo się zniechęcisz. Poczekał trochę.

Wysła...? Czy to już bezczelność? – zapytał, spoglądając w okno.

Gdzieś ponad światłem miasta niebo przeciął okruch międzygwiazdnej materii, efektownie rozpryskując się na dziesiątki kawałeczków spalonego pyłu. Być może zauważyło to jakieś zapatrzone w niebo dziecko, wypowiedziało swe marzenie, pełne ufności wobec nieznanego gościa pojawiającego się na nieboskłonie. Może zaś meteor przemknął niemal niezauważony przez ludzkie oko, wymykając się nielicznym obserwatorom, jak sprytny złodziej. Może był dla jakiegoś astroamatora którymś z kolei gwiazdny śmieciem spalającym się w atmosferze, a może magiczną gwiazdką, która zetknęła ze sobą dwoje nieuważnych przechodniów z zadartymi w górę głowami, złączyła przypadkowo i już na wieki, jak czyta się w romantycznych, ach, jak bardzo romantycznych wierszykach.

Admin, jeszcze gdy jego imię nie zostało zastąpione bezduszną nazwą zawodu, wielokrotnie spoglądał w niebo. Wieczorami bawił oczy niezwykłą grą kolorów, przenikaniem się tak różnych barw, starając się odnaleźć linię, gdzie kończy się błękit zachodzącego dnia, a zaczyna złota poświata utworzona z ostatnich jego promieni – nigdy jednak nie udało mu się jej znaleźć. Poszukiwania przerwały tysiące Naprawdę Ważnych Spraw, na które MUSIAŁ znaleźć przecież czas. Wtedy zaczął obserwować późnonocne

niebo – dopiero wtedy miał nieco czasu, gdy wracając ze swej drugiej pracy, przynoszącej zyski raczej niewymierne, dające wyłącznie doświadczenie i satysfakcję z naprawiania świata. Kto by nie chciał móc naprawiać świat... W niejednej pełnej zapału głowie tłukły się nikłe marzenia uszczęśliwiania ludzi, dawania Afrykańczykom płomyka nadziei w postaci pudełka zapalek, pokazywania swym narzekającym niegdyś, w dawnym dzieciństwie matkom, że można, że da się i że wszystko jest możliwe.

W późnych godzinach wieczornych przemierzał swe miasto – wówczas jeszcze pieszo i zdany na łaskę komunikacji miejskiej – zazwyczaj zatrzymując się przy każdej napotkanej budce telefonicznej czy poczcie – kto wiedział wówczas, że już za jakieś x lat wszyscy korzystać będą z telefonów komórkowych...? Wśród inżynierów i środowisk naukowych mówiono już o przenośnych telefonach, jakie powstawały właśnie w USA, lecz do stojącego w szeregu państw środkowo-wschodnich kraju zbyt daleko było do tego typu osiągnięć techniki. Toteż raczkujący dopiero w swym zawodzie Admin wciąż kupował nowe karty telefoniczne, odwiedzał poczty, by zamawiać międzymiastówki i za wszelką cenę chciał być w temacie – każdy czuł nadchodzące zmiany, skądś nadlatywały jaskółki świadczące o nadejściu jakiejś nowej wiosny, jakiej jeszcze nie było w dziejach ludzkości. Atmosfera działała jak samozapalacz – znalazłszy potencjalnego współpracownika, Admin zamierzał uczynić krok niebanalny - otworzyć własną firmkę teleinformatyczną. Chciał zdobyć palmę pierwszeństwa, prześcignąć czającą się jeszcze w zaułkach konkurencję, lecz nie domyślał się, że droga do pełnej Victorii może być aż tak wyboista. Na domiar złego, gdy wydawało się, że już wygrał, wspólnik, chytry lis, wyczuwając wielką fortunę, poprzez splot, jak się zdawało, przypadkowych zdarzeń, doprowadził na pół powstałą firmę do punktu, z którego z góry miał już tylko on; po niedługim czasie stał się wyłącznym właścicielem bardzo obiecującej, bezkonkurencyjnej firmy, a Admin, wykiwany, był znów tylko adminem w firmie produkującej jakieś przykładowe pasty do zębów. Tak skończyła się jego, z początku cudowna, przygoda z własną firmą, gasząc zapał, wszelkie chęci i zamiłowanie do swego rzemiosła. Z każdym dniem popadał w coraz większą rutynę, nie znajdując radości w kolejnych, małych sukcesach. Czymże było pokonanie jakiejś karty graficznej i jej zawiłych sterowników, nie współgrających z żadnym normalnym systemem w porównaniu z tą wielką klęską, którą starał się zamazać w pamięci, by skrzywdzone, bezbronne marzenie nie wołało już każdej nocy o krzywdzie, jaką potrafią wyrządzić ludzie. Najlepszym na to lekarstwem było rzucić się bez opamiętania w wir pracy – chociaż już nie satysfakcjonującej, ale pozwalającej zapomnieć.

Dziś wygrzebał te fakty z cmentarza swej historii. Ukrywanie ich tam nie miało sensu. Trzeba było po prostu uporządkować pojedyncze strzępy w jedną całość, by móc wreszcie ułożyć swe życie w ciągu przyczynowo – skutkowym, odsączając krystalizujące się na dnie wnioski. To proste z pozoru zadanie oznaczało rozdrapywanie starych ran, których, wbrew wszelkim przewidywaniom, było więcej, niż się spodziewał.

Wrócili chwile rozpacz, samotności i zrezygnowania, przeplatane nikłymi uśmiechami – ironicznymi, złośliwymi, szczerymi lub po prostu radosnymi, momenty, gdy był na szczycie i te, gdy leżał na dnie, pustymi oczyma wpatrując się w sufit.

Wtem stanęła mu przed oczami jedna, pożółkła kartka. Celowo skazana na zapomnienie już wtedy, gdy trwała, opromieniając swym czarodziejskim spojrzeniem szepczącą coś niezrozumiale rzeczywistość.

Była inna. Skrywała swą tajemnicę. Może straszną, może niesamowitą, może zupełnie banalną, a może po prostu wyimaginowaną. Pracowała przez jakiś czas w księgowości. Jako jedyna zdawała się odczuwać coś więcej, niż tylko powierzchowną akceptację z domieszką zwykłej, koleżeńskiej sympatii. A może było to tylko złudzenie, nadpisanie nieistniejącego i nadinterpretacja? Któregoś dnia odleciała, zerwana z kalendarza przez porywisty, wiosenny, silny wiatr, znikając wraz z nim w białym samochodzie z furkoczącymi wstążeczkami.

Admin zerwał się z łóżka, cofając się gwałtownie znad skraju przepaści. Sen natychmiast pierzchnął, roztapiając się w ciemności, jak znika lód, wrzucony do wrzątku. Nerwowo spojrzął na wyświetlacz komórki. Była trzecia nad ranem. Zanim minęły cztery minuty, maksymalny czas, jaki można spędzić na cudzej maszynie, w większości przypadków nie martwiąc się o rychłe wykrycie swej obecności, Admin powrócił w półręczysty, głęboki sen.

I znów nastał kolejny poranek. Chciano – niechciano – nie pytał. Nadszedł. Mimo wszystko. Ścieląc horyzont barwą niedojrzałej brzoskwini. Sąsiad spał, przerywając ciszę donośnym chrapaniem starego, zmęczonego człowieka. Jak widać, ani razu nie mógł być cicho. Admin zabawiał się gierkami na komórce, chociaż gra jedną ręką nie należała do najprzyjemniejszych. Po skromnym śniadaniu zaczął zastanawiać się, co właściwie mógłby robić tego dnia. Nie nawykł do bezczynności, chociaż marzył o niej każdego mglistego poranka, wyruszając do pracy. Tkwiła przed nim bezkształtna masa wolnego czasu, z której mógł ulepić teoretycznie wszystko. Niestety, zupełnie nie miał pomysłu na to, czym właściwie mógłby się zająć.

Ktoś otworzył okno – świeże powietrze wreszcie zaczęło wpływać do pomieszczenia.

Spojrzął w jasną plamę nieba, po którym ślamazarnie płynęły obłoczki. Zamknął oczy. Pod powiekami nadal widział jednak biały ślad w kształcie okna. Ze zdziwieniem wpatrywał się, jak kwadratowa plama zmienia kolor na złocisty, a potem matrixowozielony, by wreszcie zalać się purpurą, ściemnieć i zniknąć. Otworzył oczy i ponownie spojrzął w okno – chciał powtórzyć wspaniałe doświadczenie. Gdy ponownie zamknął oczy, widział jednak tylko ciemność. Ze zrezygnowaniem znów sięgnął po komórkę, wyświetlając kalendarz. Ku jego zdziwieniu, na bieżący dzień zaplanowano wypis ze szpitala. Zupełnie zapomniał.

Rzeczywiście, po chwili na salę wszedł lekarz, rozpoczynając poranny obchód, a pielęgniarki, które zjawily się tuż za nim, w mig sporządziły odpowiednie dokumenty – biorąc je z szafki przypomniał sobie o swej niedawno poznanej dziewczynie. Miło byłoby się pożegnać – przemknęło mu przez myśl. Rozejrzał się dokoła - lubiła przecież wpadać nagle, a następnie przez dłuższy czas stać bez ruchu, aż ktokolwiek ją zauważył. Sala jednak była pusta, wyłączając połamańca, który z braku lepszego zajęcia, spał. Admin wrzucił wszystko, co posiadał do swej granatowej torby i uważając na tkwiącą jeszcze w gipsie lewą rękę, wyszedł na korytarz. Nie krył się z tym, że jakoś dziwnie było mu odjeżdżać z tego nieznanego miasta, nie zamieniwszy ani słowa z młodą programistką, toteż schodząc ze schodów wciąż przystawał, niby to oglądając wystawkę plakatów i rysunków dzieciaków, niby to wyglądając przez okno, niby poprawiając opatrunek. Gdzieś kołatało się jedno, małe pytanie: przyjdzie...? Gdy dotarło do jego rozumu, natychmiast zostało odesłane do kosza, jako zwyczajnie głupie. Co kogo mógł obchodzić jakiś postarzały admin? Coś

wciąż jednak wyrzucało zniecierpliwione pytania, powodując rozlewający się po całym systemie niepokój. Przyjdzie? Nie przyjdzie? Co zrobić? Pytać? Zignorować?

Admin ze zrezygnowaniem wyszedł z budynku, kierując się w stronę postoi taksówek.

- Do widzenia – usłyszał nagle za sobą. Odwrócił się gwałtownie. – Chciałam się pożegnać. Miło mi było pana poznać, panie Administratorze. Żałuję tylko, że w takich okolicznościach... Chciałam także podziękować za cenne wskazówki i informacje. Mój team... – Admin drgnął niespokojnie. Team? Jaki znów team...?! – Mój team – kontynuowała dziewczyna – dokonał wczoraj włamania. Do pańskiej Sieci. Dziękuję za hasło do nowego serwera.

- Więc to tak... – powiedział Admin gorzko, cedząc słowa przez zęby.

- Była pyszna zabawa. Podobno. Nie wiem. Nie brałam w tym udziału. Ja tylko zbierałam informacje.

Admin wzruszył ramionami. Co mógł poradzić na to, że zawsze był ofiarą losu? Że po raz kolejny został wykiwany? Nic! System „Admin”, co gorsza jedyna jego wersja, nie był do końca szczelny. Posiadał krytyczny błąd, niemożliwą do załatwienia lukę. Nie pomogłyby na nią żadne patchy. Taki system trzeba po prostu wycofać z użycia, kończąc wspieranie produktu. Tylko tyle można zrobić.

- Do widzenia – rzucił, wsiadając do samochodu. Czekają go mnóstwo roboty.